



Mirosław Derecki (md)

EKRAN I WIDZ: „BOY FRIEND”

Kiedy wybrałem się do kina studyjnego w „Chatce Żaka”, aby obejrzeć jeszcze raz „Boy frienda” - byłem zaskoczony: pustawa sala, lekko zdezorientowana publiczność, brak prelekcji wprowadzającej. Ot, jedna z pozycji repertuarowych jakie należało zgodnie z planem wprowadzić na ekran, ale która organizatorzy potraktowali w sposób „ulgowy”. Przypomniałem sobie wówczas, jak rok temu udało mi się niemal cudem wcisnąć na przepełnioną salę kina przy londyńskiej Fulham Road i jak ogromne zainteresowanie towarzyszyło wówczas premierze kolejnego filmu Kena Russela.

„Boy friend” był jedną z rewelacji angielskiego sezonu filmowego i tam, w dzielnicy zamieszkałej przez plastyków, filmowców, aktorów i znane osobistości ze świata mody, nabierał jeszcze dodatkowego smaczku. Satyra na estradowo-rewiowy światek wydawała się tym bardziej ostra, a pointy i niedopowiedzenia odczytywano z tym większą precyzją, że chodziło o sprawy z tzw. własnego podwórka. A że jeszcze to, co pokazał Russel, kłóciło się z poetyką jego dotychczasowych filmów, tym większe było zainteresowanie „Boy friendem”, tym większy powód do rozmów i dyskusji.

W Polsce twórczość Kena Russela, jednego z najciekawszych reżyserów brytyjskich, przedstawiciela pokolenia, które zastąpiło „młodych gniewnych” sprzed lat kilkunastu, jest prawie nieznana. Jedynie publiczność warszawska miała możliwość obejrzenia w ubiegłym roku, podczas Tygodnia Filmów Angielskich, jego z rozmachem zrealizowanych, bardzo kontrowersyjnych „Diabłów” oraz „Boy frienda”. Były to zresztą jego największe dzieła. Ale już wcześniej Russel wprowadził zamieszanie w świecie krytyki filmowej bardzo chwalonym i bardzo krytykowanym obrazem o Czajkowskim - „The Music Lovers” oraz adaptacją powieści H. G. Lawrence’a - „Women in Love”. Tym ostatnim filmem dał zresztą sławę i nazwisko jednej z najwybitniejszych dziś aktorek angielskich - Glendzie Jackson. Warto mieć na uwadze, że zanim Russel ugruntował swoją pozycję na wielkim ekranie, miał już na koncie ponad dwadzieścia filmów nakręconych dla telewizji przeważnie związanych z sylwetkami sławnych ludzi ze świata malarstwa i muzyki.

W poprzednich filmach Russel szafował ponad miarę scenami okrucieństwa i gwałtu; drapieżność, z jaką ukazywał na ekranie konflikty zachodzące w ludzkim środowisku, mogły

wydać się wielu widzom przekraczaniem granic sztuki. Obyczajowości, moralności. A mimo to trudno było oderwać oczy od ekranu, widz buntował się, ale poddawał nieprzeciętnej osobowości reżysera.

Tym większe zaskoczenie sprawił Ken Russel ekranizując „Boy frienda”. Inna sprawa, że ów płaski musical ukazujący miłosne perypetie „panienki z dobrego domu” uczęszczającej do szkoły tańca, napisany przez Sandy Wilsona i wystawiany z powodzeniem na Broadwayu, stał się dla Russela jedynie pretekstem do okrutnej satyry na środowisko aktorów rewiowych, na pokutujący wśród nich mit Broadwayu i Hollywoodu, pod płaszczykiem pozornie niefrasobliwej farsy toczącej się na scenie prowincjonalnego teatrzyku. Russel ukazuje głupotę i nienawiść, małoduszność, zawiść i bezkompromisową walkę o byt. Pozostawia przecież jednak miejsce dla piękna, szlachetność uczuć, dla bezinteresownej miłości, która - jak się wydaje mówić - zarezerwowana jest dla ludzi młodych, dopiero wstępujących w świat. Tę pozytywną, wyrażającą wiarę Russela w człowieka postawą reprezentuje postać głównej bohaterki filmu, Polly. Zagrała ją nowo odkryta dla filmu modelka Lesley Hornby, bardziej znana pod pseudonimem „Twiggy” - „Gałązka”. Jak w wypadku Glendy Jackson, i tutaj Russel wykazał znakomity talent odkrywczy. „Twiggi” stworzyła doskonałą kreację aktorską i najprawdopodobniej zawód modelki zamieni na zawód aktorki filmowej. Jako Polly z „Boy frienda” odrzuciła dla miłości intratny kontrakt hollywoodzki, jako Lesley Hornby przyjęła go, realizując w tym roku w USA film „W”. Obecnie przygotowuje się do roli w musicalu „Peter Pan”.

Pierwodruk: „Kamena”, 1973, nr 22, s 14.